Nr. 52. We Lwowie dnia 24. grudnia 1894. Rok II.



Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Nowe prądy w Czechach.

II.



Oile na polu polityczno-społecznem nowe prądy występują już w całkiem konkretnych, aczkolwiek niezupełnie jeszcze skrystalizowanych formach, o tyle w dziedzinie literackiej panuje wciąż zamęt straszliwy, z którego niewiadomo jeszcze, co się może wyłonić. Rozbrat pomiędzy starymi a młodymi wciąż wzrasta. Ażeby przekonać się o tem, dość przejrzeć i porównać treść organów starych, jak: »Lumir«, »Osvieta«, lub »Zlata Praha« z organami młodszego pokolenia, jak: »Rozhledy«, »Niva«, lub też »Vesna«. W pierwszych jeszcze wszechwładnie panuje idealistyczny romantyzm; nietylko na naturalizm ale i na realizm zapatrują się tam jeszcze jak na coś dzikiego, wstrętnego, niemożliwego; tu zaś spotykamy się z objawami krańcowego naturalizmu, dekadentyzmu i symbolizmu. Przeciwko dawnym kierunkom literackim występują nowe i to najrozmaitsze, a wszystkie one są odbiciem tej ewolucji literackiej, jaką przeżywa Zachód. W młodszem pokoleniu poetów i literatów czeskich znajdują oddźwięk wszystkie hasła, które rozbrzmiewają na Zachodzie, zwłaszcza we Francji. Aczkolwiek Czesi zawsze miłem okiem poglądają na Wschód, ku któremu pociągają ich sympatje plemienne, jednakże wpływ bliższej, zachodnio europejskiej kultury jest tak silny, że pochłania ich całkowicie. Młode pokolenie ulega temu wpływowi i usiłuje przeszczepić na grunt rodzinny wszystko to, co porusza umysły społeczeństwa zachodnioeuropejskiego, a przeszczepia częstokroć wcale nie zwracając na to uwagi, że grunt w Czechach jest całkiem inny, wręcz dla takich eksperymentów nieodpowiedny. To wytwarza ów stan nienormalny, poniekąd nawet chorobliwy, jaki panuje zwłaszcza w liryce czeskiej.

Aż do początków siódmego dziesięciolecia literatura, czyli raczej poezja czeska rozwijała się pod wszechwładnym wpływem literatury niemieckiej, mianowicie pod wpływem pisarzy niemieckich epoki klasycznej. Była to poezja sielankowo-sentymentalna, jednostronnie-patrjotyczna, o ciasnych widnokręgach, o małym zasobie szerszych aspiracji. Zwrotu dokonała nowa szkoła (Vitezsława Halka i Jana Nerudy), która wystąpiła około r. 1860. z hasłami kosmopolitycznego romantyzmu i skupiła pod tym sztandarem wszystkie młode talenty. Ogromną doniosłość miało wystąpienie Jarosława Vrchlickiego, który zniszczył wpływy niemieckie, a zwrócił uwagę poetów czeskich na Victora Hugo, Leconte de Lisle'a, Carducciego i t. d. Od tego czasu datuje się rozwielmożnienie, częstokroć wprost szkodliwe, wpływów francuskich. Jednakże Vrchlicki oddał ogromne usługi literaturze czeskiej, gdyż on to właściwie wytworzył współczesny czeski język poetycki, który obecnie najzupełniej nagina się do przekładu najtrudniejszych utworów cudzoziemskich i posiada plastyczność, giętkość, bogactwo wyrażenia niezbędne dla teraźniejszego liryka, grającego na wszystkich strunach duszy ludzkiej, oddającego najsubtelniejsze odcienia uczuć ludzkich. Jeszcze dalej, aniżeli Vrchlicki, zaszedł w romantyzmie kosmopolitycznym Juljusz Zeyer, poeta-mistyk, tworzący rzeczy w guście legend średniowiecznych, który przygotował grunt dla dzisiejszych symbolistów i dekadentów czeskich. Urzędowym organem całej tej grupy poetów stało się czasopismo „Lumir“, wydawane przez J. V. Sladka, jedynego przedstawiciela wpływów angielskich w poezji czeskiej.

Zupełnie na uboczu stał drugi największy obok Vrchlickiego poeta czeski — Świętopełk Czech, którego poezja zajmuje miejsce pośrednie pomiędzy cudzoziemskiem a narodowem. Jest on tak samo jak i Vrchlicki romantykiem, ale romantykiem nawskróś narodowym. Jest on również założycielem poematu epickiego z dziejów czeskich z postępową demokratyczną tendencją, a obecnie ze wszystkich poetów czeskich cieszy się największą popularnością u swych rodaków.

Jeszcze bardziej trzymają się gruntu patrjotycznie narodowego powieściopisarze historyczni: Benesz Trzebizski i Alojzy Jirasek, którzy dotąd

spełniają w społeczeństwie narodowo-agitatorskie posłannictwo.

Wszystkie powyższe imiona reprezentują w czeskiej literaturze epokę, która sięga aż do połowy dziewiątego lat dziesiątka, tj. do tego czasu, kiedy następuje stanowczy zwrot pod każdym względem w życiu politycznem i umysłowem społeczeństwa czeskiego, kiedy powstaje silny prąd krytyczny, który z nieubłaganą mocą druzgocze dawne powagi, burzy różne „świętości“ narodowe i bez wahania przedstawia stosunki, odarłszy je z blichtru wszelkiego. Walka o autentyczność słynnych »zabytków» poezji czeskiej, rękopisów królodworskiego i zielonogórskiego kończy się porażką jej obrońców. Naturalizm w powieści i dramacie dwoma strumieniami wtarga do Czech i wywołuje reakcję przeciwko idealistycznemu romantyzmowi. W polityce zaznacza się ten kierunek reakcją społeczeństwa przeciwko staroczechom, która doprowadza do tego, że partja owa ustępuje z widowni, a jej miejsce zajmują zwycięzcy na całej linji młodoczesi. Typowym reprezentantem tego kierunku krytycznego jest T. B. Masaryk, profesor filozofji na wszechnicy czeskiej w Pradze, który miał i ma do dnia dzisiejszego ogromny wpływ na młodzież uniwersytecką. Z pomiędzy jego słuchaczów wyszli główni założyciele partji postępowej, którzy w swych organach poddali bezwzględnej krytyce wszystko, co znajdowali w życiu i literaturze czeskiej niezgodnem z tymi poglądami, które zaczerpnęli u źródeł zachodnio-europejskiej filozofji pozytywnej i zachodnio-europejskich teorji społeczno ekonomicznych. Zapoznawszy się bliżej z życiem politycznem Zachodu, z jego ewolucją społeczną, z nowymi prądami filozoficznymi, etycznymi itp., poczęła młodzież występować przeciwko ciasnej, formalnej ideologji nacjonalistycznej, pragnąc ideały ogólno ludzkie przeszczepić na grunt czeski. Ponieważ postępowano tu w sposób bezwzględny, radykalny, nie licząc się z usposobieniem ogółu i ze stosunkami miejscowymi, nic więc dziwnego, że w tych zakusach nowatorskich, starsze pokolenie dopatrzyło się zdrady narodu, negacji narodowości itd., do czego się młodzież wcale nie poczuwała. Wywiązały się spory, waśnie i utarczki w łamach pism codziennych i miesięczników. Młodzież zapewniała, że jest dalcko patrjotyczniejsza, niż jej przeciwnicy, którzy jej zdradę zarzucają, że stoi ona na gruncie ściśle narodowym i że jest też zwolenniczką racjonalizmu, tylko właściwiej zrozumianego. Walka ta trwa i dotąd. W obozie młodym krzyżują się różne kierunki, prądy, odcienia, sekty literackie itd., na które oddziaływa wpływ i dawnych rodzimych tradycji literackich, i literatury francuskiej i przeróżnych zachodnio-europejskich teorji polityczno-społecznych, jak również i kulturno-etycznych w rodzaju tołstoizmu. Prawdziwy chaos! Można jednak mieć nadzieję, że to, co się z tego chaosu wyłoni, odegra w literaturze czeskiej ważną rolę, zapłodni ją pierwiastkami świeżymi i wytknie dla niej nowe naturalne drogi. Do takich wniosków uprawniają nas zjawiska ostatnich czasów w dramacie (utwory Swobody, Szimaczka), poniekąd w nowelistyce (utwory M. Havla, Mrsztika) i w krytyce. Szczegółowo pomówimy o najmłodszych przedstawicielach literatury czeskiej innym razem.

Praga. W listopadzie.

L. Wasilewski.



CIOTKA RÓZIA.

OPOWIADANIE.

— Tak, Anciu droga! wam młodym, patrzącym na siwe włosy i pomarszczone czoła, zdaje się, że ich właścicielki przyszły na świat z tem gotowem piętnem starości, że nigdy nie widziały wiosny, tylko zawsze chmurną jesień lub śnieżną zimę.

— Nie, cioteczko! o tem nie myślałam nawet, lecz przyznać muszę, iż my, kobiety dzisiejszego pokolenia, żywiej odczuwamy wszystko. Nam serca biją takiem przyśpieszonem tętnem, iż wypalają się nawet przed nadejściem siwizny — mówiła ośmnastoletnia Ancia, stojąc przed piecem, w małym, skromnie umeblowanym pokoju, stanowiącym całe mieszkanie tych dwóch kobiet, pozostawionych sobie i wspólnej dla siebie pracy.

Ancia wróciła przed chwilą z lekcji, które daleko od domu, rozrzucone miała na mieście. Zziębnięta, rozgrzewała drobne, zaczerwienione ręce, podczas gdy stara panna, ciotka Rózia, krzątała się koło stołu. Stały na nim dwie szklanki, koszyk z sucharkami i bochenkiem chleba, oraz ostentacyjnie różowiły się na talerzyku plasterki szynki.

— Tak, tak cioteczko, my goręcej odczuwamy wszystkie uczucia, mnie np. serce pękłoby z bólu, gdybym kochała i nie wyszła za mąż za ukochanego człowieka, znienawidziłabym mężczyzn, cały świat nawet, a ciocia...

Ancia spojrzała na ciotkę, która z trudem smarowała twardem, zimowem masłem cienki kawałek chleba.

— A ciocia — dokończyła za siostrzenicę stara panna — ani nie znienawidziła mężczyzn, ani też nie umarła z bólu.

— Moja ciociu! Moja jedyna ciotuchno! — przymilała się Ancia — powiedz, dlaczego nie wyszłaś za mąż? Pani Wiecka mówiła mi, że

swego czasu ciotuchna była bardzo ładną i bogatą panną.

— Jesteś ciekawską, dziecko drogie, a to długa historja.

— Tem lepiej, ciotuchno. Był piękny ten twój ideał, bardzo nawet piękny, prawda? wykształcony i kochał cię szalenie?

Ancia zbliżyła się do stołu. Ciotka Rózia skończyła nakoniec smarować skibki, i podsuwając je Anci wraz ze szklanką gorącej herbaty, mówiła cichym spokojnym głosem:

— Tak, był wykształcony, bardzo nawet, kończył studja w Heidelbergu, w tej starej, średniowiecznej niemieckiej wszechnicy. Ale to mniejsza, gdzie i co studjował, filozofię czy medycynę. Pociągała mnie nie jego znajomość nauk, tylko to ukochanie serc ludzkich i tej czarnej gleby, która je żywiła i tej natury, której zdawał się odczuwać każde tchnienie, na której piękno był tak wrażliwy, iż szmer lasów i cichy bieg wody, płynącej za naszym ogrodem, milszym mu był od gwaru stolic zagranicznych i całej serji koncertów, w które zimą miał sposobność wsłuchiwać się w mieście.

— A jakiemi słowami oświadczył się ciotuchnie? co powiedział przy pierwszej wymianie uczuć? — pytała Ancia, topiąc ciekawe spojrzenie w bladej twarzy ciotki.

— Szalony dzieciaku! — szepnęła stara panna — napij się lepiej herbaty, wystygnie zupełnie, a tak jesteś zziębniętą.

Ancia odsunęła szklankę.

— Nie pijesz?

— Nie cioteczko, później. Powiedz, jedyna — prosiła pieszczonym głosem Ancia — nazwał cię pewnie swoją gwiazdą, swoją perłą, swojem jedynem szczęściem na ziemi.

— Nie, dziecko — odparła po chwili milczenia stara panna — innym przemawiał językiem. Powiedział, że nie czarne oczy i czarne włosy, których setki widział piękniejszych, wryły mu się w serce, tylko moje usposobienie pełne prostoty i moja dobroć; mówił, że ukochał nie tysiące, które ojciec miał za mną dać w posagu, bo gdyby chciał, miałby krocie, lecz czar i urok niewieściej skromności. Mówiono, że był brzydki, za wysoki i za szczupły, a na pierwsze wejrzenie nawet chmurny. Ja tego nie widziałam. Gdy w cichy, letni wieczór, siedząc na ganku przed domem, począł opowiadać o swojej pracy i trudach uniwersyteckich, o swoich celach i dążeniach, gdy, wpatrzony w dal, z matką moją rozmawiał o czystości i świętości domowego ogniska, gdy z ojcem mówił o obowiązkach obywatela, kiedy zachwycał się świeżością moich uczuć i myśli, wówczas modliłam się prawie do niego w duszy. Kiedy w naszym małym, chylącym się w ziemię wiejskim kościółku, on, przesycony widokiem patrzących dumnie w niebo gotyków i bazylik, wspólnie z ludem śpiewał »Pod Twoją obronę«, wierzyłam święcie, że ludzie są zesłanymi na świat aniołami, po nad którymi on króluje. Stawał w obronie kundla podwórzowego, którego inne psy gryzły, bo przy całej zimnej krwi, pozwalającej mu bez przewodnika wdrapywać się na alpejskie szczyty i tatrzańskie turnie, nie mógł znieść krzywdy, wyrządzonej nawet zwierzęciu. On który, z tą samą zimną krwią stoczył dwa pojedynki ze swym kolegą cudzoziemcem za to, iż ten lekkomyślnie wyrażał się o kobiétach naszego kraju, nie potrafił zabić niesłusznie nawet muchy. Niesprawiedliwość była mu wstrętną, słowa danego nie cofał nigdy. Raz, pamiętam, przybył do nas na święta Bożego Narodzenia. Począwszy od wigilji, śnieg całymi płatami padał bez przerwy przez kilka dni z rzędu. Potworzyły się na drogach zaspy, podobne do nizkich chat naszej wioski. Sąsiedzi nie ruszali się z domów, nawet do kościoła. Cała okolica, dość ruchliwa zazwyczaj, zamarła, zastygła w tym zimnym, lodowatym uścisku śniegu. A on właśnie w taką jedną zawieję wybierał się w drogę. I nic go powstrzymać nie mogło, ani prośby rodziców, ani łzy moje. Gdyby nawet życie miał złożyć w ofierze. raz dane słowo było dla niego świętością. Profesorowi chemji, którego był asystentem, przyrzekł, iż tego a tego dnia będzie w laboratorjum. I pojechał w szalejącą wściekle zamieć, w noc ciemną...

Jednej cichej, lipcowej niedzieli, siedząc wśród cienistych lip naszego ogrodu, przeglądaliśmy wspólnie album mojego ojca. Były tam kopje obrazów mistrzów włoskich i flamandzkich, oraz sztychy staroniemieckiej szkoły, które ojciec mój chętnie zbierał za pobytu swego na uniwersytecie w Berlinie. Heglista przejęty teorjami wielkiego filozofa, kochał piękno, stworzone przez sztukę, odrodzone jej potęgą, ożywione duchem mistrza dłuta lub pędzla.

Wzrok mój zatrzymał się najdłużej na odwiecznym, poczerniałym od starości sztychu. Przedstawiał miasto średniowieczne, z wązkiemi, pełnemi zaułków ulicami, z wysokimi domami, po nad którymi unosiła się jeszcze wyżej wielka, secinami drobnych wieżyczek najeżona katedra. Do tego przybytku chciała widocznie dobiedz i może w cieniu jego łuków i zagięć ukryć się młoda kobieta. Spłoszona, z oddechem, zamarłym na kształtnie wykrojonych ustach, uciekała przed tłumem rozszalałego ludu, który ją, ówczesnym zwyczajem, za karę chciał »wyświecić« z miasta. Mnie żal się zrobiło twarzy, na którę malarz zlał blaski przedziwnej piękności. Nie, to nie mogła być zalotnica, ani też z gruntu zepsuta kobieta, tylko nieświadome dziecko, które grozę spełnionego faktu zrozumiało dopiero w chwili, gdy około niej rozległy się okrzyki wzburzonego tłumu, który w tej doraźnej karze widział raczej rozrywkę i zaspokojenie własnych, dzikich instynktów, aniżeli uczynienie zadość sprawiedliwości.

On podrażniony był moją niemą litością dla tej istoty, uosabiającej może jedną z wielkich krzywd, wyrządzanych kobiecie, często nie za jej własne li tylko winy. I potokiem pięknych, przekonywających zdań, namalował przed memi oczyma obraz powołania kobiety. Pajęczą tkanką słów, misternie wyrzeźbionych, przysłonił jaskrawość tła, na którem występowała wina skazanej. Według jego przekonań kobieta mogła być tylko westalką, rozpalającą ogień święty w progach domowego ogniska; innych nie mógł zrozumieć. Tylko dziewica, której śnieżnej czystości duszy nie zaćmił nawet drobny atom salonowej kokieterji mogła być jego żoną.. tylko takiej mógł dać swoje nazwisko... — skończyła zmęczonym, wyczerpanym głosem ciotka Rózia.

— Ależ to wymarzony ideał! Ciociu droga! jak mogłaś nie wyjść za mąż za takiego człowieka, nie pojmuję doprawdy dlaczego? — badała Ancia.

— Dlatego, że ożenił się z inną.....

— Na kilka tygodni przed terminem naszego ślubu, ja zostałam sama i biedna, a on, do zalet oślepiająco błyszczących, potrzebował szczerozłotej oprawy... więc ożenił się z wdową, która wniosła mu w posagu 50 tysięcy talarów i wspomnienie burzliwej przeszłości.

Ancia zerwała się z krzesła.

— Więc ten formalista, narażający życie dla dotrzymania słowa profesorowi, ten rycerz, pojedynkujący się w obronie wszystkich kobiet, to miękkie serce, nie mogące znieść krzywdy, wyrządzonej nawet psu podwórzowemu, nie dotrzymuje słowa narzeczonej, łamie jej życie i żeni się w końcu z kobietą wątpliwej przeszłości, a-a-a! to okropne! to występek! — oburzała się Ancia. Ach! ciociu droga! I cioci nie pękło z bólu serce?

Stara panna uśmiechnęła się na ten naiwny okrzyk siostrzenicy, poczem podniosła się z krzesła, wzięła samowar ze stołu i postawiła go przed piecem. Spracowaną dłonią uchwyciła leżące na ziemi szczypce i zwolna rzucała rozżarzone węgle do wygasłego podczas opowiadania samowara.

— Aneczko! zjedz kawałek szynki — przemówiła po chwili cichym, spokojnym głosem. Potrzebujesz posiłku, tak wiele pracowałaś dzisiaj, pieszczotko moja.

Po bladej twarzy Anci, zapatrzonej w siwe włosy ciotki, spłynęły dwie łzy gorące...

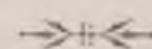
Melanja Parczewska.



Złotem ci to naród nagrodzi.

Przez

L. K. Lazarewicza.



(Dokończenie).

Dobrze już było po północy, gdy padł nakoniec na ławę pod oknem, rzuciwszy jeszcze jedno, ostatnie spojrzenie na lampę, która coraz ciemniej się paliła i silniej kopciła, oraz na Błagoja, chrapiącego już na dobre ze zwieszoną na piersi głową i wyprężonemi rękami, jak gdyby siedział na koźle i trzymał lejce.

Nadaremnie wszakże silił się zmrużyć oczy. Sen z jego powiek płoszyły bandy Czerkiesów. Nad ranem dopiero zaczęła morzyć go drzemka, gdy nagle ciszę nocną zmącił rytmiczny łoskot kół oraz wołanie majtków, którzy stojąc na pokładzie statku, mierzyli głębokość rzeki, a w ślad za tem ostre gwizdnięcie budziło rozespaną w przystani służbę.

Kapitan zerwał się na równe nogi; szabla mu się odpasała i z brzękiem upadła na podłogę.

Błagoj poruszył się niespokojnie.

— Jeszcze nie, bracie! — mruknął, robiąc taki ruch rękami, jak gdyby uzdę naciągał, a po chwili spał już znowu snem sprawiedliwych.

Kapitan jednym rzutem znalazł się na dworze. Zaledwie mógł oddychać. Niewysłowiony strach mroził mu krew w żyłach. Popędził, ile sił starczyło, w kierunku przystani, pierwszy uchwycił linę, rzuconą z brzegu zbliżającego się powoli statku, i przyciągnął silnie ku sobie. Lecz zaledwie nawijać ją zaczął wokoło pala, wbitego w ziemię, gdy oczy jego dostrzegły w tłumie kobietę, podnoszącą wysoko ponad głową niemowlę w powijaku. Kapitan cisnął linę służbie, zdziwionej jego zachowaniem się, i z takim impetem poskoczył naprzód, że o włos nie zażył zimnej kąpieli. A gdy żona wśród ciżby i gwaru padła mu w objęcia, a potem syna podała, najpierw łzy, a w ślad za niemi pocałunki, okryły pulchną twarzyczkę dzieciny, która ani myślała krzywić się na obcesowe powitanie nigdy przedtem niewidzianego ojca.

Płakała i żona — to się samo przez się rozumie — zawtórowała jej i inna jeszcze podeszłych lat niewiasta — bo i to nieuniknione — aż w końcu poczęło kwilić i niemowlę.

Szczęśliwi małżonkowie minęli szybko most i uchylili się na stronę, pozostawiając wolne przejście innym podróżnym.

Tysiąc pytań cisnęło się kapitanowi na usta, milczał jednak, nie wiedząc, od czego ma zacząć.

— Więc żyjesz! — zawołał nareszcie, odzyskując mowę i chwytając ją za rękę, jakby dla tem dokładniejszego przekonania się o rzeczy-

wistości — I ten malutki! Ach, ty, ty wojaku! A jak okropne myśli przychodziły mi do głowy! Boże mój, Boże!

Otarł twarz rękawem i nie wypuszczając z objęć dziecka, mówił dalej:

— Wiedziałem, z całą pewnością wiedziałem, że przyjedziesz... A matka?

Teraz dopiero spostrzegł starą kobietę i pośpieszył ją powitać.

— Dzięki niech będą niebu, żeście wszyscy żywi i zdrowi, że wszystko tak szczęśliwie się składa.

Stara kobieta uderzyła w płacz.

— Daleko nam do szczęścia, synku! — zawołała. — Wszak zostaliśmy bez domu, bez dachu nad głową!

Kapitan doznał takiego wrażenia, jak gdyby lodowata ręka ścisnęła mu serce. Ścisnęła i nagle puściła, spojrzenie jego bowiem padło na wlokącego się przez most człowieka w prostem ubraniu żołnierskiem. Człowiek ten miał uciętą lewą rękę i prawą nogę.

— Milczcie! — zawołał z przerażeniem kapitan i oddawszy pośpiesznie dziecko żonie, podbiegł ku nieszczęśliwemu, uchwycił go pod ramię i dopomógł przekroczyć oderwaną od mostu deskę.

— Czy nie jesteś, żołnierzu, synem gazdy Błagoja?

— Do usług, kapitanie! — odparł zapytany, prostując się na kuli i salutując po wojskowemu. Ale kula go zdradziła i biedak, aby nie upaść, uchwycił się jakiejś dźwigającej pieska pani, która odskoczyła z okrzykiem przestrachu.

— Ojciec twój oczekuje tu na ciebie! Pójdę mu oznajmić o twojem przybyciu.

Ponieważ wschodząca jutrzenka rozproszyła już była ciemności nocne, wyżej opowiedziane zajście zwróciło ogólną uwagę podróżnych. Skoro więc kapitan pośpieszył ku mehanie, aby zbudzić Błagoja, obecni rozstąpili się jednomyślnie, robiąc miejsce kalece, pięknemu, dorodnemu młodzieńcowi, o męskim wyrazie twarzy i smutnym na ustach uśmiechu. Wszystko posiadał: siłę i zdrowie i piękność, a jednak — nieszczęśliwszy od nędzarza, podobny był do czary z drogocennego kryształu, niebaczną stłuczonej ręką.

Posuwał się zwolna naprzód. W ślad za nim kroczyła żona kapitana z dzieckiem i matką, a dalej reszta podróżnych w skupionem milczeniu, jak gdyby brała udział w uroczystej jakiejś procesji.

W tej chwili wypadł bez czapki Błagoj z mehany. Kapitan poskoczył ku niemu i chwytając go za rękę:

— Stójcie! — zawołał. — Ciężko ranny! Bardzo ciężko!

— Jakto, ciężko?... Kto to powiedział?... Wszak mam list!... Jego przyjaciel Jole...

Rzucając niespokojne spójrzenia na wszystkie strony, minął kalekę i stanąwszy przed gromadką podróżnych, zawołał:

— Gdzież on?

— Ojcze! — jęknął żałośnie młodzieniec, obracając się na jednej nodze i opierając na kuli — Ojcze, wszak jestem tutaj!

Błagoj zwrócił się wstecz z szybkością błyskawicy: staje przed synem, wpatruje się weń — wpatruje — i nagle pada na ziemię, jak piorunem rażony.

Obecni śpieszą na pomoc nieszczęśliwemu, bryzgają nań wodą. Dama z pieskiem daje mu wąchać jakieś krople z flakonika. Błagoj szybko wraca do przytomności, zrywa się z ziemi, otrząsa wodę, którą go oblano, a potem tuli syna do piersi, przygarnia ku sobie tak namiętnie, jakby się bał ponownie go utracić.

Nie puszcza jedynaka przez długą chwilę z objęć, a później wpatruje mu się prosto w oczy, jak gdyby wzrok jego nie śmiał ześliznąć się niżej, gdzie były niegdyś noga i ręka.

— Chwała Bogu, że żyjesz, o wszystko inne mniejsza! A to — dotknął kuli ręką — to złotem naród ci wynagrodzi! Nieprawdaż, bracia?

Obecni przysunęli się bliżej do mówiącego, potakując jednogłośnie.

— Oto ja pierwszy daję — zawołał kapitan i zaczął przeszukiwać kieszenie, ale znalazłszy w nich kilka zaledwie groszy, dokończył — ja pierwszy daję zegarek z łańcuszkiem. Weź, bracie!

— Dziękuję, panie kapitanie! — wyjąkał żołnierz, salutując po wojskowemu. — Trzymaj, ojcze! Ja nie mam ręki!

— Odemnie przyjmij fajkę z bursztynem. Kosztowała dwa dukaty — odezwał się ktoś z publiczności.

— Dziękuję, bracie! Weź, ojcze.

— A tu masz na tytoń! — zawołał ktoś inny, podając mu kilka dukatów.

Zołnierz opierając się z trudnością na kuli, zdjął czapkę i nastawił ją dającemu pieniądze, ze słowami:

— Dziękuję, bracie! Potrzymaj, ojcze.

Z kolei każdy z obecnych podchodził do czapki i wrzucał w nią swój datek.

Zołnierz powtarzał wciąż: »Dziękuję, bracie!« »Dziękuję bracie!« — ale głos jego zniżał się coraz bardziej, zanikał w piersiach. Stereotypowe słowa, które powtarzał, nabierały stopniowo w ustach jego akcentu, z jakim je wymawiają ślepe dziady, włóczące się po jarmarkach, a on sam poraz pierwszy zaczynał z całą jasnością pojmować, że być mu już odtąd nędzarzem tylko i żebrakiem! I z oczu młodzieńca trysnęły, niby rzęsisty deszcz majowy, ciche bujne łzy.

— Patrzcie go, patrzcie! — zawołał Błagoj. — Dla takiej drobnostki płacze! Wielkie mi rzeczy, noga! Wszak ona ci znowu... — o mało

nie powiedział »odrośnie«, ale w porę się spostrzegł — wszystko ci to znowu... A, mówię ci, że za to wszystko złotem naród ci zapłaci!...

I nagle sam wybuchnął głośnym płaczem.

— Poco mi to wszystko? — zawołał, ciskając czapkę z datkami o ziemię i wznosząc błagalny, nieprzytomny prawie wzrok ku niebu, jak gdyby stamtąd oczekiwał odpowiedzi.

— Chodźmy stąd! — poprosiła kapitanowa. — Tutaj nieszczęście, a my... — spojrzała przy tych słowach na zdrowe nogi męża i okrągłą twarzyczkę syna — my, dzięki Bogu, jesteśmy szczęśliwi, bardzo szczęśliwi!

Błagoja z synem i datkami odwieziono do miasta powozem. Przez pewien czas ludzie dobrego serca obdarzali ich hojną jałmużną, ale wszystko na świecie ma swój koniec, wszystko blednieje — i zapał, i poczucie obowiązku, i miłość i współczucie!

* * *

Kapitan wybudował sobie z biegiem czasu nowy dom na dawnem miejscu w Kniażewcu. Nie wygląda on wprawdzie zbyt wykwintnie, ale gospodyni tego domu zawsze wesoła, a jej synek zdrów i umie już targać ojca za wąsy.

Błagoj powtarzał jeszcze przez pewien czas: »Złotem ci to naród wynagrodzi!« — później zmienił to na: »Bóg ci za wszystko zapłaci!« — a w końcu rozpił się i wkrótce umarł. Syn jego pobiera »zapomogę« z funduszu inwalidów i — żebrze.

Możecie mu — jeżeli łaska — także coś ofiarować.

A to jest moja dla niego jałmużna!

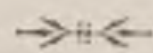
Tłumacz. z serbskiego

M. Wysłouchowa.



Co co Nikita opowiadał.

(Z cyklu poezji prozą: »Łzy i uśmiechy«).



(Ciąg dalszy).

— To bardzo mądre na takie dziecko; a bawi się czasem po dziecinnemu, wesoło?

— O, jak! ona będzie taka, jak Ahapja, jasna i głośna. Z małymi braćmi jak się zaczną gonić koło zagrody, chować za płotami, szukać, straszyć, to krzyczą i piszczą, jak warjaci jacy. Nasza gmina ma sad, jak dojrzeją czereśnie lub wiśnie, starszym trudno to zbierać i czasu szkoda, to tacy mali idą do tego; zawsze jak już chłopcy bydło pozganiają, to Łupka z nimi pędzi do sadu, leżą na drzewa, jak gąsienice i obiorą owoce do jednego. Gdzie Juhtym czy Karpo nie dostaną bo cienka gałązka, to ją tam podsadzą, ona się czepi, poobrywa ślicznie wszystko, więc na dół, ją ciągną. Raz to im spadła z drzewa, przestraszyli się okrutnie, bo miała całą twarz czerwoną, jakby we krwi, ale to nic nie było, tylko czereśniami się umazała, trochę się potłukła, to też ją te hultaje w koszyku do domu przynieśli, żeby już nie skarżyła ojcu, że jej z gałęzi spaść pozwolili. Jej się to bardzo podobało i na drugi raz znowu chciała, żeby ją do kosza brali, ale się zbuntowali i przyrzekli tylko, że jak znów zleci a porządnie się potłucze, to ją na praźnik zaniosą do cerkwi, będzie w koszyku piszczała, to se więcej zarobi, niż te pięć kopiejek za buraki. Ona już odtąd o tem ani wspomni, a jak oni coś zaczynają, to się plecami do nich obróci i kołysze małego i śpiewa, aż ich zakrzyczy.

— A ten maleńki ładny?

— Bardzo śliczny! Taki jak bąk, gruby, tęgi a zły czasem, tak będzie krzyczał, aż posinieje, to się do niego pozlatują matka, siostry, nic nie pomaga, on się drze i nie da się z kołyski wziąć, wtedy ojciec przyjdzie, podniesie go w obu rękach, trzepnie dobrze, raz, dwa, krzyknie: a ty hultaju, niedźwiedziu, smoku jeden! — tak zaraz złośnik oprzytomnieje i wita się ładnie, jakby nigdy nic. Ojciec go lubi bardzo, bo on taki akurat jak ten, co umarł, to mu przypomina; taki ładny będzie, duże oczy czarne i taki już hardy, choć maleńki, zaraz pięści ściska i puszy się na każdego. Ojciec mówi, że tamtego mało bił, to też źle skończył, za to ten się nabierze. Łupka, co go najwięcej piastuje, czasem płacze aż, jak ojciec go chce uspokoić, ale ojciec mówi: niech się przyzwyczaja póki mały, to się nie będzie dziwić jak starszy a będzie brał.

— O tej godzinie co teraz mogą robić u was?

— O tej? połowa pewnie już śpi. Taraś w kołysce, Łupka u matki w łóżku, Juhtym i Karpo na słomie w stodole, matka i ojciec siedzą przed chałupą i na księżyc się patrzą; ojciec to bardzo lubi, często opowiada, jak był za młodu w wojsku i szli przez stepy kędyś za Czarnem morzem, to taki był księżyc duży, jak odtąd nie widział już; chłopcy pytają jak ładna kiedy pełnia: a może taki duży był miesiąc wtedy, jak ojciec szedł przez stepy? — Ni! nigdy taki nie jest! — Bo ojciec wtedy był młody, to i księżyc mu się inny wydawał. No, i tak se siedzą na progu, matka kartofle obiera, ojciec nic już nie może robić wieczór, bo oczy trochę bolą, ale w dzień sporządza wszystko, co się zepsuje, umie wóz zrobić nawet, ławę, kołyskę sam zrobił dla dzieci.

— Musiał dużo tych kołysek robić, kiedy was jedenaścioro?

— Jedną tylko robił, zawżdy ta sama, to się przecie nie psuje, z dobrego drzewa, mocno zrobione, ojciec wtedy młody był i zawsze ład-

nie umiał z drzewa robić, a kołyskę się malowało parę razy i zawsze jak nowa.

— A dziewczyny co teraz robią?

— Dziś poniedziałek, to Ahapja pewnie tam zeszywa i łata rzeczy chłopaków, nim zamoczy w balji, a Myna może skoczyła do mojej Jewki. Hryhora nie ma dziś, bo zwozi żyto u rządcy, a Trofym siedzi pewnie na kłodzie pod płotem i gra na fujarce, bo to znów matka bardzo lubi, ale też zawsze powiada, że on nie gra ani przez połowę tak jak ojciec, kiedy był młody i kiedy się mało jeszcze znali, tylko tyle, że poznawała że to on gra, a ojciec wiedział, że go w sąsiedztwie słyszą, bo blisko wedle siebie mieszkali.

— A jakie imiona mają rodzice?

— Andrzej i Kateryna, tak się już dobrali! A długo czekali na siebie, bo ojciec z wojska nie wracał, a matce ludzie głowę tumanili, że on już nigdy nie wróci, bo to wtedy wojna była i z naszej wsi coś dziewięciu nie wróciło; potem, wojna się skończyła, a ojca jeszcze nie było widać, to opiekuni naglili matkę, żeby za innego szła, za ich krewniaka, ale choć sierotą była i znikąd obrony, to przecie tak przetrwała dwa roki jeszcze dłużej i nie zrobiła mu krzywdy, jeno czekała. I przyszedł w końcu! Akurat wiosna była, matka mówiła wciąż, że czuje, że on bliżej już i wieczorami po robocie chodziła na tę tam drogę od Żabokrzycza; i jak raz usłyszała fujarkę, a że nikt tak nie grał dla niej jak on, więc poznała od razu, choć się zmienił i zmarniał, bo ciężko leżał w szpitalu. Zaraz się pobrali i w swojem powietrzu, za swoim pługiem do siebie prędko przyszedł, a matce tego nigdy nie zapomni, że tak na niego czekała, jeszcze teraz przypomina, to się matka śmieje, że to stare rzeczy, a taki przecież też lubi, gdy Trofym gra te same pieśni, co ojciec wtedy.

— A te pieśni się nie zmieniły od owych czasów?

— Eh, ni, pieśni to zawsze te same, jak zboże, ptaki i świat cały; czasem się jakie słowo przeinaczy, ale potem znów wraca na swoje miejsce, bo już ludzie śpiewają w takich samych chwilach, czy to wesele, czy jaka niedola, czy wiosna, czy żal bierze...

— Tutaj uważam, że dużo śpiewacie, zewsząd słychać: z pola, z chat, w dzień i w nocy, nawet słyszę jak tam z dołu, ze wsi dolatuje, ale zawsze jakby smutno...

— A tak! to już taki kraj żałośny... niewiedzieć czemu...

Nikita urwał, czuł żałość tej ziemi, nie wiedział jednak gdzie jej przyczyna. Księżyc za chmury się schował, chłód powiał od lasu, w Słobodzie pies ujadał, powietrzem głuchy szedł turkut coraz wyraźniejszy i bliższy... ziemia tętniała... naraz gwizd przeraźliwy rozdarł ciszę nocną i wprost przed nami za leszczynowym płotem, na torze zadyszała wielka, żelazna pierś pociągu pośpiesznego, dwa wielkie płonęły oczy czerwone, tuman dymu osłaniał wagony, a olbrzym ziejący w szalonym pędzie, jak lewiatan przeleciał i zniknął w ciemności Ten mądry, żelazny, błyskawiczny robotnik, przenoszący na swych ramionach z krańca w kraniec ziemi ludzi, zwierzęta, myśli, towary, dobrobyt, złe wieści, pociechę, zarazę, szczęście i rozstanie, robił wśród ciemności ogromne wrażenie, odcinające się ostro i jaskrawo od księżycowego tła tej pobereskiej wsi wpółuśpionej. Żałośny kraj... dawniej, niegdyś, gdy te cudne zboża dojrzały, wpadał Tatar i łupił kosztowny plon; dziś falują takie same złote kłosy, nieprzejrzane obszary wspaniałej pszenicy kołyszą się — bez ceny, nikt na nie nie napadnie, mało kto zapyta i gospodarz ze skargą stoi nad swoim urodzajem. Olbrzym żelazny musiał splątać fatalnie swoje drogi, kiedy przelatuje i nie zabiera tych stogów ze sobą w daleki świat. Ziemia taka urodzajna, a jednak głodzi ludzi, sypie ziarnem, a człowiek nędznieje, niepokoi się i niemal z przestrachem patrzy na bujne plony.

— Nikita!

— Słucham.

— Czy u was gospodarze narzekają na złe czasy?

— Eh, teraz ni, pięknie obrodziło, będą mieli, dwa lata temu to wszystko zmarniało, ale teraz dobrze, zboże stoi takie zdrowe, śliczne!

— Będzie dosyć chleba?

— Ojej! ziarno takie tanie, to się ludzie pokrzepią, przy zbiorach też zarobią, i byle nie przepili, jak w zeszłym roku wielu z chłopów zrobiło, toby się bardzo dobrze mogli mieć.

— Ale inni narzekają, że ceny niema, a robotnik drogi!

— To minie... długo nie potrwa, naraz coś się zmieni, niewiedzieć jak i podskoczy od razu do góry, znów się dokupić nie będzie można i znów jedni będą radzi, a drudzy nie.

Ta prosta filozofja Nikity uspokoiła mnie znacznie. Zapewne, że to tak już musi być, raz ci, raz tamci, kolejno... Jest widać nemezis dziejowa, społeczna, indywidualna i — zbożowa. Ta żałośna ziemia może wie, co robi, że sypie w ręce raz tym, to znów tamtym... niech się pożywią jedni i drudzi... ale podziałka chwieje się gwałtownie, nie przyszły jeszcze przyczyny i skutki tej pszenicznej dźwigni do takiej równowagi, aby wszyscy razem mieli dość, nie za wiele, nie zamało... jeśli, jeśli to nie jest podstawową zasadą, żeby właśnie kolejno jedni drugich zjadali... Aby mi szybka logika nie zaczęła potwierdzać tego założenia, wolałam się zwrócić do Nikity, ale on stał w tej chwili przychylony ku ziemi, patrzył w gęstwinę przy drodze, dał znak milczenia i palcem wskazał miejsce, gdzie się krzaki trochę rozstępowały.

— Co tam?

— Dwa młode wilczki... o! tunęły tam już... szkoda że strzelby nie mam!

— Zarazbyś zabijał! takie jeszcze maleńkie, jak jagnięta!

— Ohoh! — zaśmiał się kozak — to czekać aż wyrosną i przyjdą zimą po nasze barany aż do obory! Zeszłej zimy kobietę zjadły, co w biały dzień szła na folwark do roboty. Trzeba się bronić! Jak nie my ich, to oni nas zjedzą!

Polityka Nikity zaczęła się zaostrzać i po tych wilczych śladach zbliżać się do zasady owej, jeśli... kolejno... jedni drugich... i t. d. Wolałam więc patrzyć na księżyc, który otrząsnąwszy się z lekkich chmur bawełny zaczął znów wręcz wszystko zalewać ulewą światła, co każdą grudkę na drodze, każdy listek w gęstwinie wydobywała w silnie zarysowanych kształtach. Głosy żniwiarzy coraz bliżej dolatywały. Żałowałam, że droga się kończy, tak dobrze było krok za krokiem się wlec, księżyc zdawał się ciągnąć do siebie świat magnetycznemi rękami, wabić za sobą w przestrzeń, do jakiejś krainy cichej, łagodnie jasnej, gdzie ciało traci ciężar, duch od wszelkiej zależności uwolnion idzie gdzie chce, a zmysłów używa się na to jedynie, aby widzieć światło, — tę cudowną pieszczotę wszechrzeczy, aby słyszeć, co upragnione, czuć woń kwiatów i słodycz szczęścia w powietrzu... Ta kraina musi gdzieś być koniecznie... kiedy ją się tak mocno czuje... tak za nią tęskni... tak do niej dąży...

Dok. n. *Szczęsna.*



Przekłady z języka polskiego.

»Przygody Jasia« E. Orzeszkowej wyszły po francusku z ilustracjami. »Bulletin polonais« podał przekład »Pierwiosnków« Asnyka i powiastki Abgara-Sołtana »Koła Rokitin«.

Powieść E. Orzeszkowej, »Meir Ezofowicz«, doczekała się czwartego, bogato ilustrowanego wydania niemieckiego. »Aforyzmy« Wł. Fedorowicza wyszły po niemiecku we Wiedniu. Jako odbitka z pisma »Aus fremden Zungen« ukazał się przekład powieści M. Rodziewiczówny »Dewajtis«. »Romanwelt« berliński ma drukować najświeższą powieść E. Orzeszkowej p. t. »Wielki«.

Taż sama powieść ma być drukowana w miesięczniku rosyjskim »Russkaja Mysl«. Wychodzących po rosyjsku »Dzieł« H. Sienkiewicza ukazał się tom III., zawierający »Bartka zwycięzcę«, »Tę trzecią«, »Z niewoli tatarskiej«, »Na jedną kartę« i »Jamioła« i tom V., w którym podano początek powieści »Ogniem i mieczem«. »Na marne« H. Sienkiewicza wyszło w przekładzie rosyjskim Dąbrowskiego. W czerwcowym nrze »Wiestnika Jewropy« znajdujemy kilka poezji A. Asnyka. »Cham« E. Orzeszkowej w przekładzie p. A. Sacharowej wyszedł po rosyjsku w drugiem wydaniu dla ludu nakładem znanej firmy »Posrednik« w liczbie 15.000 egzemplarzy.

»Bajki« M. Bałuckiego przełożył z rękopisu na język czeski A. Szwab-Polabsky. W piśmie »Zabawy pro mladež« znajdujemy opowiadanie K. Benoniego: »Głodowe lata«. »Obzor« czeski podał artykuł ks. Badeniego: »W Zagrzebiu«. »Niwa« umieściła opowiadanie Wł. Łozińskiego »Madonna Busowiska«. W dodatku niedzielnym do »Narodnich Listów« znajdujemy nowelkę A. Mieszkowskiego: »Przed narodzeniem«. Pismo »Narod« podało dwie powiastki przełożone z polskiego, mianowicie Kuncewicza »San Marco« i Sejdlerowej »Promień słoneczny«. »Lumir« zamieszcza »Petersburg« A. Mickiewicza w świetnym przekładzie Jarosława Vrchlickiego. Toż samo pismo podało poezje J. Styki: »Duchowe piękno«, »Do mojego pendzla«, »Przed obrazem Marji Magdaleny na Wawelu« i »U grobu Adama Mickiewicza«. Przekładu dokonał również J. Vrchlicki.

L. W.



Przegląd pism.

»Biblioteka Warszawska«. — Listopad 1894.

Listopadowy zeszyt »Biblioteki« rozpoczyna początek szkicu historycznego A. Darowskiego p. t. »Zatargi starostów pogranicznych (polskich i moskiewskich) w latach 1618—1654, skreślonego na podstawie rosyjskich źródeł historycznych.

W artykule p. t. »Stulecie chemji« utalentowany popularyzator wiedzy przyrodniczej, Dr. Flaum, podaje treściwy zarys historji chemji w ciągu ubiegłego stulecia, zaznaczając w końcu swego szkicu liczne nierozwiązane jeszcze zagadnienia chemji, które wyłoniły się w ciągu wieku całego i zaprzątają obecnie umysły najwybitniejszych uczonych.

P. Chamiec w drugiej części swej monografji p. t. »Wśród stepów i jarów« (rozpoczętej w kwietniowym zeszycie »Biblioteki« na podstawie zabytków archeologicznych, studjów z dziedziny lingwistyki, etnografji i t. p. daje opis tego, co się wśród pól i stepu w dorzeczach Bohu i Dniepru na czarnoziemnym »rozłohu« przed oczy nasuwa.

»W stepie pszennym«, luźne wrażenia z podróży po Dakocie i Minnerocie, kończy autor p. K. R. Żywicki w omawianym zeszycie »Biblioteki«. Są to bardzo powierzchowne i prawie nic nowego dla przeciętnie wykształconego czytelnika nie zawierające, dorywcze opisy kultury rolnej w Ameryce, oparte na spostrzeżeniach, często czynionych z okien wagonu, a gęsto zaprawionych materjalistycznem pojmowaniem dziejów i rozwoju społecznego, któremu tak wytrwale i wiernie służy autor.

I Sienkiewicz kończy swą »Rodzinę Połanieckich«, rozpoczętą jeszcze w lipcu roku zeszłego.

Kroniki: paryska i miesięczna, poezje Ł. Rydla oraz recenzje i sprawozdania składają się na resztę listopadowego zeszytu »Biblioteki«.

p.



Z drukarni Z. Golloba we Lwowie